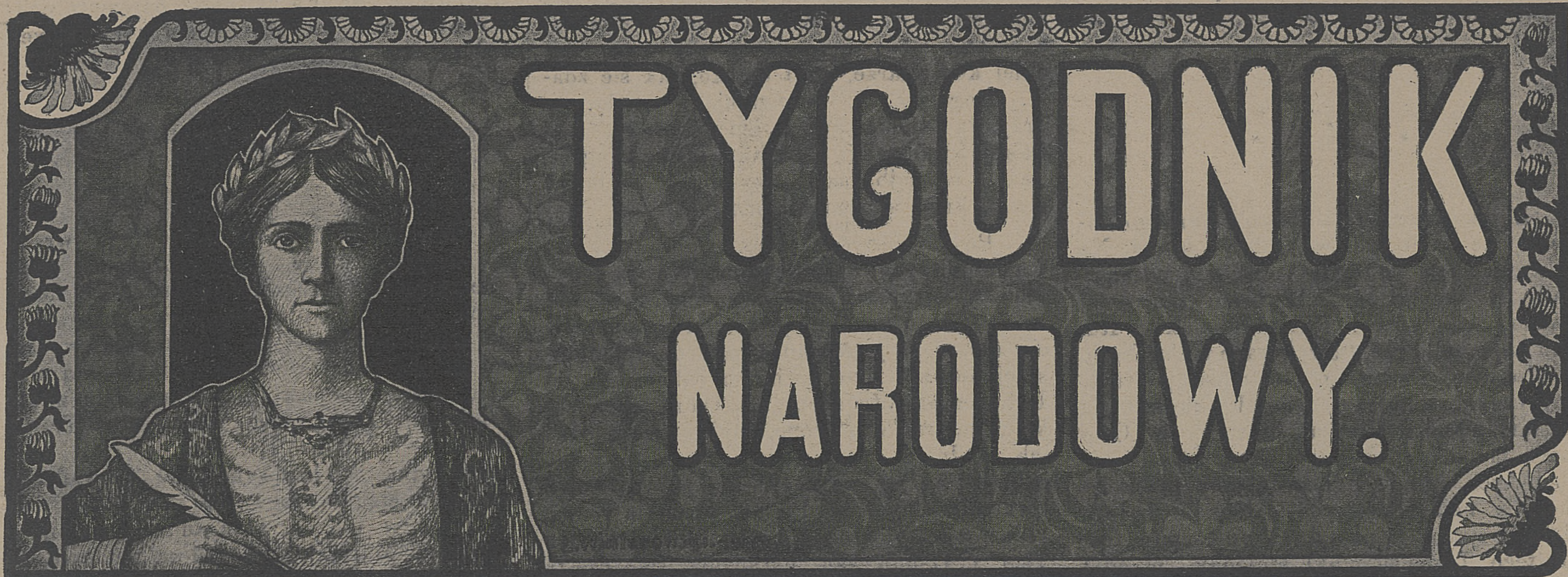
Rok 1900. Lwów, 16. grudnia Nr. 62.



Redaktor: Klemens Kołakowski. * * * * * * * * Redakcya i Administracya we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11.

Treść Nr. 62:

Zaproszenie do przedpłaty!

Z kończącym się rokiem prosimy Szanownych Czytelników o rychłe odnowienie przedpłaty na

„Tygodnik Narodowy",

który nadal wychodzić będzie na dotychczasowych warunkach.

Życzliwe poparcie, z jakiem spotkaliśmy się u polskiej Publicznosci kraju, jest nam bodźcem do nieustannego ulepszenia pisma zarówno pod względem treści, jak i formy zewnętrznej:

Na rok przyszły zapewniliśmy sobie współpracownictwo wybitnych pisarzy polskich i postaraliśmy się o takie urozmaicenie treści, iżby czasopismo nasze odpowiadało wszelk m wymogom inteligentnych czytelników.

Zawarliśmy również układy z pierwszorzędnymi zakładami artystycznymi o dostarczanie nam klisz do rycin, które zdobić będą i nadal każdy zeszyt „Tygodnika".

Zwracamy uwagę, iż całoroczni prenumeratorowie otrzymują jako **premię bezpłatną,**

album,

zawierające 10 kartonów z rycinami, wykonanemi artystycznie tak, iż premia ta może być wspaniałą ozdobą każdego salonu.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:

rocznie koron 16 (złr. 8),
półrocznie koron 8 (złr. 4),
kwartalnie koron 4 (złr. 2),

a przyjmują ją wszystkie biura dzienników w kraju, oraz

Administracya „Tygodnika Narodowego"
we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11.

Prenumeratę najdogodniej przesyłać przekazem pocztowym wprost do Administracyi.

Luźne uwagi.

Liczne stronnictwa galicyjskie odbyły 13. bm. pierwsze lustrum sił swoich i faktyczne obliczenie swego dorobku w kuryi powszechnego głosowania. Po niezwykle burzliwej i namiętnej dyskusyi dziennikarskiej, po tylu nowych programaeh i manifestach wojennych, wynik wyborów w kuryi V-tej jest, doprawdy, ciekawym i bardzo znamiennym. Wszyscy prawie, co tak gwałtowną wszczęli byli agitacyę przeciw solidarności Koła polskiego w Wiedniu, — przepadli z kretesem, a stronnictwo ludowe, które ten niemal jeden tylko grzech miało na sobie, poniosło klęskę na całej linii i straciło mandaty obu swych przedstawicieli i wodzów. Próbowano sfery inteligentne przekonać o tem, że solidarność delegacyi wiedeńskiej jest zbyteczną, a tymczasem lud i klasy robotnicze potrzebę tej solidarności zdokumentowały tak stanowczo i bezwzględnie, jak tego nikt się nie spodziewał!

Drugą, znamienną cechę wyborów z kuryi V-tej znajdujemy w ogromnym upadku stronnictwa socyalistycznego. Pomijając już to, że zamiast dwóch dotychczasowych, socyaliści utrzymali obecnie jeden tylko mandat, więcej jeszcze uderza ubytek ich stronników w masach ludowych i robotniczych. Ten sam p. Daszyński, co przy pierwszym wyborze uzyskał w Krakowskiem 25.000 głosów, teraz w tym samym okręgu otrzymał 13.000, a więc niewiele więcej nad połowę dawnej liczby. We Lwowie ongi socyalista Kozakiewicz wybrany został 12.000 głosów; dzisiaj socyalistyczny kandydat, p. Hudec, zjednał sobie zaledwie 4.000 wyborców i upadł sromotnie wobec przeciwnika, p. Breitera, na którego padło głosów przeszło 14.000. W innych okręgach socyaliści prawie nie próbowali stawać do walki. — Widocznie agitacya socyalistyczna nie znajduje gruntu w społeczeństwie galicyjskiem i słabnie z każdym rokiem. Wybuchła nagle i olśniła masy różowemi obietnicami, których nie mogła spełnić; lud porwany chwilowo, poznał się na złudzie i dzisiaj gromadnie odstępuje fałszywych proroków.

Zagadkowem jest tylko to, że porzucając ludowców i socyalistów, masy ludowe przechylają się na stronę takiego szarlatana politycznego, jakim jest osławiony ks. Stojałowski. Aż trzej jego zwolennicy wyszli z urny wyborczej! Sądzimy, że przyczyn należy szukać w religijnem uczuciu naszego ludu i w reakcyi ku idealnym celom, jakimi — chociaż pozornie tylko —, wojuje ks. Stojałowski. Wskazuje na tę przyczynę także i ta okoliczność, iż po raz pierwszy wybranym został członek stronnictwa katolicko-narodowego, które do tej pory nie miało miru wśród włościan.

W powiatach ruskich wybrano kandydatów polskiego komitetu centralnego i tylko w jednym okręgu zwyciężył kandydat ruski.

Imienny wynik wyborców tak się przedstawia: dziewięciu kandydatów polskiego komitetu centralnego a to pp. Mieczysław hr. Piniński, ks. Paweł Sapieha, Stefan Moysa-Rosochacki, dr. Michał Danielak, Wincenty Jabłoński, dr. Walewski, dr. Tadeusz Niementowski, ks. Michał Żyguliński i dr. Doboszyński; trzech stojałowszczyków:

Andrzej Wilk, Maciej Fijak i Antoni Bomba; 1 socyalista: Ignacy Daszyński; 1 radykał polski: Ernest Breiter i 1 radykał ruski: dr. Kos.

* * *

Zanik stronnictwa socyalistycznego objawia się nietylko w Galicyi samej. Na Bukowinie ich kandydat otrzymał niknąco małą liczbę głosów. Wybrani tam dwaj rządowi kandydaci: Rusin Pihulak i Rumun Isopescul. Przy prawyborach w Czechach, na Morawie, Śląsku itd., socyaliści po większej części dotkliwe ponieśli klęski. Na Śląsku mandat Cingra stracony, w Czechach mandat z V. kuryi okręgu Karlsbad-Cheb-Asch, który był zastąpiony przez jednego z najzdolniejszych członków byłego klubu socyalistycznego dr. Verkaufa (rodowitego Tarnopolanina) stracony, mandat Kiesewettera również stracony, mandaty Schrammla i Zellera bardzo zagrożone i prawdopodobnie tak samo, jak mandaty Verkaufa i Kiesewettera przypadną Schönererowcom, którzy w północnych Czechach z szaloną, iście germańską zaciekłością agitują.

* * *

Że o „barometrze politycznym“ mówią nawet kalendarze — wnosić stąd należy, że to narzędzie istnieje i tak samo fałszywie przepowiada przyszłość, jak barometr meteorologiczny. Otóż w chwili obecnej wskazówka przechyla się w Chinach ku pogodzie. Poseł amerykański p. Conger, o którego odwołaniu tak dużo już pisano, otrzymał jakieś nowe instrukcye i zawiązał rokowania bliższe z p. Satowem — swym kolegą angielskim i z p. Mummem — niemieckim. Telegram z Waszyngtonu zapewnia, że ci panowie doszli do porozumienia, i że w ten sposób zgodność w dalszej ich działalności dyplomatycznej jest zapewnioną. Telegraf, co prawda, jest wynalazkiem, mającym na celu tworzenie zamętu w umysłach, więc ufać telegramom zbytnio nie należy.

Pewniejszem jest to, co powiedział p. Mac-Kinley w swej odezwie do kongresu. Kierownik najwyższy polityki amerykańskiej stwierdza, że polega ona na zasadzie zachowania nietykalności obszarowej i politycznej Chin, oraz na zasadach uznania praw państw europejskich, obrony ich handlu i bezstronnego zabezpieczenia intererów ekonomicznych wszystkich mocarstw. Ameryka poparła wniosek rosyjski co do wskrzeszenia władzy centralnej chińskiej w Pekinie, ale żąda zarazem przykładnego ukarania winnych Chińczyków w granicach słusznego wymiaru sprawiedliwości. Zaznaczając w końcu, że Chiny powinny wynagrodzić cudzoziemców za poniesione straty, i że byłoby pożądanem, ażeby wszelkie spory co do tego wynagrodzenia rozsądzał trybunał międzynarodowy w Haadze, p. Mac-Kinley dodał, że Stany Zjednoczone znajdują się w dobrych stosunkach z innemi mocarstwami, że stosunek do Francyi jest przyjazny, do Niemiec — życzliwy, do Rosyi stale przyjazny. Prezydent wspomniał o układzie z Rosyą co do przekazywania sądom polubownym sporów, wynikających z połowu wydr morskich w cieśninie Behringa, i wyraził wdzięczność władzom rosyjskim w Syberyi za przyjęcie, jakiego tam doznali amerykanie, zbiegli z Mandżuryi. O W. Brytanii pan Mac-Kinley nie wspomniał z osobna, i to wywołało w prasie europejskiej komentarze, zbyt daleko, jak się zdaje, sięgające, i przewidujące nawet, że przyszła wielka armia amerykańska, nad której organizacyą obraduje właśnie kongres, będzie w najbliższej przyszłości przelewać zimną krew synów Albionu.

Powracając do Pekinu, wracamy do pogodniejszych widnokręgów. Wszyscy dyplomaci otrzymali już nowe instrukcye od swoich rządów i mają zamiar zgromadzić się znowu przy szklance prawdziwej chińskiej herbaty i roprawiać o pokoju. Nawet Li-hun-czan oświadcza, ża Chiny chcą pokoju za wszelką cenę, byle oszczędzono ich godność państwową. Przedstawiciele chińscy sądzą wszakże, że pobyt wojsk sprzymierzonych w Peczili utrudnia rozwikłanie kwestyi wschodnio-azyatyckiej. Książę Tsin i Li-hun czan naradzają się często z przybyłym do Pekinu ks. Uchtomskim, korzystając z jego rad i wskazówek.

* * *

Gdy takie widowiska w myśli się roją, ludy bałkańskie zamierzają przypomnieć Europie, że ma jeszcze własną kwestyę wschodnią. Król Aleksander serbski nosi się podobno z wielkimi zamiarami zawarcia przymierza serbsko-bułgarsko czarnogórskiego, które stanowiłoby czoło przypuszczalnym zapędom austro-węgierskim. Na przeszkodzie urzeczywistnieniu tego rodzaju pomysłów stoją wszakże bardzo poważne czynniki. Przedewszystkiem obok Serbii i Bułgarii leży Macedonia, zasiana kośćmi niezgody. Agitacya pan-bułgarska czyni w tej prowincyi tureckiej znaczne postępy i miała podobno zamiar wywołać w niej na wiosnę powstanie. Wprawdzie konsul rosyjski w Sofii zawezwał do siebie prezesa komitetu macedońskiego, p. Sarafowa, i zalecił mu, ażeby dołożył wszelkich usiłowań w celu powstrzymania ruchu, ale niewiadomo, czy uda się to dziś już, gdy gorączka powstańcza szerzy się coraz bardziej. Nie drzemią także arnauci. Wojownicze plemię malisorów wyprawia gwałty w Starej Serbii, zaś albańczycy z osady Rugowej wpadli w granice czarnogórskie, pobili stawiających im opór mieszkańców i zatknąwszy ich głowy na włóczniach, powrócili z tryumfem do domu. Rząd turecki, jak zwykle, niebardzo się tem wszystkiem wzrusza, winnych nie karze i z zadośćuczynieniem zwleka.

* * *

Europa ma jeszczę kłopot, związany z przybyciem prezydenta Transwaalu Krügera. We Francyi przyjęcie było wspaniałe, ale obietnice pomocy żadne. Rząd niemiecki postąpił sobie brutalniej i wprost oświadczył p. Krügerowi, że cesarz Wilhelm przyjąć go nie może, ponieważ jedzie na polowanie Zawrócił więc z Kolonii afrykański wędrowiec i pojechał do Haagi. Niewiadomo dotąd, czy i kiedy inne stolice europejskie odwiedzi. W ogólności, zdaje się, że prezydent Transwaalu nie zdawał sobie sprawy dokładnej ze stanu rzeczy w Europie, że go zawiódł „barometr polityczny“, jak zawodzi wielu tych nawet, którzy sami politykę „robią“.

* * *

Marszałek Roberts niezadługo wraca do Anglii, gdzie, jak wiadomo, obejmie stanowisko naczelnego wodza sił zbrojnych. Ogłosił on obecnie odezwę pożegnalną do armii, walczącej w Transwaalu, w której składa podziękowanie za doskonałą służbę, oraz podnosi waleczność i ludzkość żołnierza. Działalność wojenna w Transwaalu — zdaniem Robertsa — jest bezprzykładną w historyi, gdyż prowadzono walkę w ciągu całego roku, nie dążąc, jak to bywa w innych kampaniach, na zimowe leże. Marszałek oświadcza wreszcie, że dużo nauczył się podczas tej wojny, i że nabytą wiedzę zużytkuje w zamierzonej reformie angielskich sił zbrojnych. Następcą Robertsa w Transwaalu mianowany został lord Kitchener. Z Kapsztadu nadchodzą wieści o zwiększającej się niechęci wzajemnej pomiędzy holendrami a anglikami w kolonii Przylądkowej. Z dnia na dzień oczekują powstania i ogłoszenia stanu wojennego. Gazety holenderskie podżegają niezadowolenie jaskrawymi opisami rzekomych okrucieństw lorda Kitchnera. Opisy te są naumyślnie przesadzone, aczkolwiek prawdą jest, że sposób prowadzenia walki jest ostrzejszy obecnie, niż był przed ogłoszeniem wcielenia Transwaalu i Oranii do Anglii. Z pola bitwy nadeszły wieści o znacznem zwycięztwie boerów pod Dewetsdorfem i o spodziewanem wtargnięciu słynnego dowódcy boerów De Weta do kolonii Przylądkowej. W rzeczy samej Dewetsdort, poddał się boerom, lecz po paru dniach wojska angielskie wyparły ich. Oskarżeni o spisek na życie marszałka Robertsa włosi, w liczbie jedenastu, zostali wydaleni zagranicę.

* * *

Z polecenia sułtana, sądy wytoczyły procesy o zdradę stanu przywódzcom młodo-tureckim, bawiącym po za granicami Turcyi. Teraz zapadły wyroki zaoczne. Redaktorów pisma „Osmali“, wydawanego w Folkestone, Nurego Achmeda i Nazuciego, skazanego *in contumaciam* na śmierć; Ismaila Kemala i Nemirę, mieszkających w Paryżu, na więzienie dożywotnie.





JELENIE.

Gustaw Bromberg.

Z SOCYOLOGII.

(Ludwik Kulczycki. Zarys podstaw socyologii ogólnej. Lwów 1900).

(Dokończenie).

Z drugiej strony z tego, że powszechna niwelacya nie jest prawdopodobna, a nawet nie jest pożądana, bo zubożyłaby cywilizacyę ogólno ludzką, nie wynika że należy stworzyć nowe narodowości z ludów drobnych, nie posiadających poczucia narodowościowego. „O ile lud w swej ogromnej większości nie ma wyraźnego poczucia swej odrębności i łatwo asymiluje się z innymi, o tyle jałowemi i zużywającemi dużo sił jest sztuczne rozbudzanie go. Trudno w kwestyi rozbudzania poczucia narodowości dać ścisłą ogólną formułę — dlatego w każdym wypadku trzeba dokładnie analizować warunki i stosownie do nich wyprowadzać wnioski.

W części trzeciej, traktującej o przeobrażeniach społecznych, polemizuje autor na wstępie z materyalistami socyologicznymi, którzy wszystkie zjawiska zachodzące w społeczeństwie sprowadzają do stosunków ekonomicznych, jako pierwotnej podstawy. Autor przyznaje zgodnie z najwybitniejszymi socyologami, że czynniki ekonomiczne w przeobrażeniach społecznych wybitną grają rolę — ale nie są jedyną ich przyczyną. I tak, w sferze wierzeń i pojęć religijnych widoczny jest wpływ stosunków ekonomicznych na ich ukształtowanie, ale wpływ ten nie jest jedyny i nikt nie jest w stanie nawet najszerszych zarysów tego wpływu naukowo wykazać. O wiele jeszcze mniej dojrzysz wpływu ekonomicznego na filozofię i błądzi, kto naukowe zapatrywania swe buduje na gruncie swych potrzeb i interesów gospodarczych, a tem samemi filozofia, która ze stanem nauk specyalnych w bliskim pozostaje związku, nie ulega tak wybitnie wpływom gospodarczym. Natomiast nauki społeczne ulegają temu wpływowi we wysokim stopniu, bo z potrzebami gospodarczemi w ścisłym pozostają związku.

Przy roztrząsaniu materyalizmu socyologicznego nie wolno zapominać o oddziaływaniu na siebie różnych społeczeństw i idącem za tem zacieraniu i modyfikowaniu wpływu ekonomicznego i o tem, że w miarę rozwoju społeczeństwa proces życia staje się zawilszy i liczniejsze coraz wpływy wewnątrz i zewnątrz się krzyżują. W każdym razie jednak wyodrębnienie czynnika ekonomicznego, jako najmożniejszego ze szeregu innych sprężyn społecznych, jest zdaniem autora uzasadnione tak rzeczowo jak i ze względów metodologicznych, a metoda materyalizmu socyologicznego wyróżnia się i wznosi wspaniale obok innych kierunków w socyologii

W dalszym ciągu próbuje autor wyjaśnić materyalistycznie niektóre fakty z dziejów Polski. Między innemi wyjaśnia fakt nie przyjęcia się u nas reformacyi tem, że miasta były słabe i rozrzucone, więc ruch mieszczański silny nie był, a chłopi od miast tak byli oddzieleni organizacyą dworską i narodowością (w miastach przeważał pierwiastek obcy) że ruch z miast nie przedostał się na wieś. Pozostaje więc szlachta. Ale ona w okresie reformacyjnym stała u szczytu swych przywilejów i nie miała z kim i o co walczyć; bo jedynie chyba duchowieństwu zawidzieć mogła praw i majątków, ale to duchowieństwo w części swej uprzywilejowanej rekrutowało się jedynie ze szlachty, a więc antagonizm zasadniczy tu nie istniał.

Przeobrażenia społeczne mogą się odbywać żywiołowo i to świadomie lub nieświadomie, albo też celowo. Żywiołowo i nieświadomie dokonują się zmiany w sferze ekonomicznej, gdzie działają elementarne uczucia i instynkty. Im więcej złożone są motywy działania w pewnej sferze, tem świadomiej odbywają się w niej zmiany. Im dokładniej zaś jakaś sfera życia uregulowana jest przez władzę, a więc przez państwo, tem większą rolę w przeobrażeniach w tej sferze odgrywa celowa działalność państwa lub partyi politycznych. Przyczyny zmian społecznych mogą być stałe lub zmienne. Na określenie, które są takie, niema ogólnej reguły.

Przeobrażenia społeczne zazwyczaj dotyczą pewnych kierunków i sfer życia. Polepszenie warunków życia w jednym kierunku nie wyklucza ich pogorszenia w innym. Mimo to biorąc rzecz ogólnie, widoczna jest tendencya do polepszenia warunków bytu na wszystkich polach. — Zdaniem autora postęp dotyczy tylko objektywnych warunków szczęścia, które obejmują stosunek człowieka do przyrody i do innych ludzi, a które przeciwstawia autor wewnętrznym warunkom szczęścia, które są bardziej zawikłane Otóż opanowanie techniczne przyrody wzmaga się szybko i tylko uciskowi jednych warstw przez drugie trzeba przypisać, że postęp ten objektywny niektórym warstwom korzyści żadnej nie przynosi, kwestya psychologicznych warunków szczęścia i ich postępu do socyologii nie należy.

Mówiąc o stosunku jednostki do społeczeństwa, autor cytuje wyniki badań uczonego Le Bou'a, że w miarę większej złożoności cywilizacyi różnice między czaszkami jednostek wchodzących wskład danego społeczeństwa są większe, powołuje się na fakt, że w społeczeństwach pierwotnych jednostki wybitne mniej były oddalone od masy ludu, niż w naszych cywilizowanych od angielskiego chłopa, że w miarę rozwoju cywilizacyi jednostka równocześnie do coraz większej ilości kół społecznych należy, coraz liczniejszym ulega wpływom i bardziej się różniczkuje, że podział pracy i gromadzenie wiedzy wywołuje coraz to nowe różnice i nowe kombinacye typów — i na tej podstawie, odrzucając teoryę Tarde'a o ujednostajnianiu się typu ludzkiego skutkiem naśladownictwa, dochodzi do twierdzenia, że im zawilszy jest typ społeczeństwa, tem większa w jego łonie różnorodność jednostek. Nie boi się też autor zaniku indywidualności w miarę rozwoju społecznego. Dążeniom demokratycznym zarzucają indywidualiści, że demokrotyzacya w przyszłości zabije indywidualność, bo stworzy dla wszystkich równe mniej więcej warunki życia, zniesie walkę o byt, będącą rzekomo motorem postępu i indywidualizacyi i odbierze jednostkom możność wyłącznego poświęcenia się jednemu przedmiotowi, zmuszając je do pracy na równi z innnymi.

Otóż autor zwraca przeciw temu twierdzeniu uwagę na to, że demokratyzacya jedynie ilościowo a nie jakościowo zrówna warunki życia, że usuwając walkę o byt między ludźmi, nie znosi tej walki między człowiekiem a przyrodą, że nie usunie podziału pracy na umysłową i fizyczną, nie zamknie drogi współzawodnictwu, nie wysuszy źródeł natchnienia artystycznego i naukowego, lecz owszem przez popularyzacyę wiedzy i dzieł sztuki raczej ułatwi jednostkom swobodny, odpowiadający ich indywidualności rozwój. Nie ma o tem mowy, by w przyszłości zabrakło geniuszów, albo by geniusze się stali niepotrzebni. Spopularyzowanie wiedzy nie może bowiem usunąć różnic w zdolnościach ludzi i nie może też doprowadzić do tego stanu, w którymby wszystko już mogli robić ludzie średnio uzdolnieni. Nawet w sferze życia społecznego, geniusz miał zawsze znaczenie. Jest to napozór sprzeczne z twierdzeniem, że jest pewna stałość w życiu ludzkości niezawisła od działalności jednostki wybitnej. Ale to sprzeczność pozorna. Bo w sferze zjawisk społecznych tylko naczelne przeobrażenia odbywają się żywiołowo, ale ukształtowanie się stosunków w szczegółach pozostawione jest działaniu jednostki. Taką jednostką może być albo geniusz, który osobistemi zdolnościami zdobywa wpływ na bieg wypadków, albo jednostki o miernych zdolnościach, ale zajmujące wybitne stanowisko w społeczeństwie i mające władzę. Te ostatnie jednostki reprezentują władzę, państwo. One też z tego tytułu mają bardzo wielki i ważny wpływ na wypadki dziejowe, a tem samem na ukształtowanie się społeczeństw.

Od ich zdolności przewidywania i liczenia się ze stosunkami, zależy we wielu wypadkach wynik walki kilku prądów społecznych. Frazes, że każdoczesny kształt życia społecznego jest uwarunkowany sumą potrzeb i sił społecznych danej chwili, nic nie mówi, a nadto nie da się udowodnić. Owszem historya bogata jest w przykłady, w których na ukształtowanie się stosunków stanowczo wpłynęła jedna indywidualność; dość wspomnieć Aleksandra, Hannibala, Wilhelma Zdobywcę, Piotra Wielkiego. Środkiem wpływania jednostek na wypadki społeczne jest polityka. W przeciwstawieniu do abstrakcyjnej tendencyi socyologii, ma polityka jako sztuka tendencye konkretne. Polityk może ze socyologii czerpać wiedzę i zrozumienie zjawisk społecznych, ale zastosowanie tej wiedzy wymaga konkretnego ocenienia każdej sytuacyi polity-

cznej z osobna. Doktrynerya socyologiczna jest dla polityka zgubna, od której ochronić go może tylko harmonijne wykształcenie socyologiczne i historyczne. Pierwsze pozwala mu orjentować się w analogicznych zjawiskach dziejowych, drugie uczy go cenić warunki specyalne, indywidualne, danemu zjawisku towarzyszące. I zwłaszcza dziś, wobec olbrzymiej zawisłości spraw politycznych i niezmiernego prawie chaotycznego krzyżowania się potrzeb, postulatów i prądów społecznych rola polityka jest trudna, ale zarazem nader wielka, bo ułatwia jednostce wpływ na wypadki przez takie lub inne skombinowanie i wyzyskanie sił społecznych.

* * *

Z wielkiej ilości kwestyj omówionych w dziele p. Kulczyckiego mogłem wybrać tylko kilka: środkiem wyboru była ważność, już to jej podatność do zwięzłego traktowania. Pragnienie krótkiego, zwięzłego zebrania najogólniejszego materyału w jednej książce i usiłowanie przystosowania książki do rosyjskiej cenzury jest powodem, że w dziełku tem wiele nie dopowiedziano i że w niejednem miejscu wybór i oświetlenie przykładów historycznych wypadły słabo.

W granicach dyspozycyi, jaką sobie autor zakreślił, zawiera książka wszystko co należy. Ale pod względem podstawowego systematu są braki. Charakter książki jest nieco dorywczy, a ogółem encyklopedyczny. Brak jednolitości w całokształcie zapatrywań i dlatego pewna trudność dla czytelnika w rozpoznaniu związku między omawianemi zagadnieniami. Książka czyni wrażenie zbioru odrębnych monografij z dzielnicy socyologii, nie zaś jednolitego dzieła. W celach informacyjnych taki układ książki jest całkiem stosowny, ale ze stanowiska naukowego nie bardzo pożądany. Usprawiedliwia autora jednak to, że założenie książki jest popularno-naukowe, i to, że autor przestrzeżony przykładami Comte'a, Spencera, Gumplowicza i Rantzenhofera, chciał uniknąć doktryny i wolał poświęcić jednolitość wykładu dla zwięzłości i wolności od hołdowania zgóry ukutej teoryi. Ten brak syntezy ochronił autora od zaślepienia w jakiejś tezie ogólnej i od nakręcania do niej faktów historycznych.



Dr. Kazimierz Rakowski.

Przez ciernie i głogi.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

„Po co was wzywali na policyę?“ — zapytał żywo Beńkowski wchodzących do jego pokoju Rudzkich. Poczciwy chłopak na razie o własnych zapomniał kłopotach, lub chciał się z nimi taić i napozór zajmowała go tylko myśl o Rudzkich.

Stary Rudzki na jego zapytanie odrzekł:

„Wołał nas komisarz do protokołu o wczorajszą demonstracyę na dworcu kolejowym. O niego chodzi, rzekł, wskazując na syna. — żandarm go poznał“.

„My wszelkie nieprzyjemności i straty panu wynagrodzimy“, szybko rzekł Beńkowski, a rumieniec oblał jego lica.

Stary Rudzki się uśmiechnął, znał bowiem szlachetne serce Stasia, ale i jego rodową dumę. Pominął więc jego słowa i rzekł: „A co — mówiłem, że będzie kłopot dla panów z tej całej historyi z Danielewskimi. To u pana robili rewizyę?“

Staś w milczeniu skinął głową.

„Ale nic nie zabrali“ roześmiał się Stefek Rudzki, wskazując ręką na rozsypany popiół przed piecem, a potem z uwielbieniem patrząc na Stasia.

„A cóż dyrektor?“ — zapytał Rudzki.

„Od dziś już nie chodzę do gimnazyum“ — odrzekł Staś.

Stary Rudzki się zasępił. Przez chwilę gniew w sobie tłumił, wreszcie wybuchnął krótkiem, urywanem słowem: „Łotry!“.

Stefek Rudzki zaś podszedł do Beńkowskiego i serdecznie mu uścisnął rękę. Tymczasem stary pytał: „Cóż teraz będzie?“

Staś w tym gniewnym okrzyku starego i w uściśnieniu dłoni młodego Rudzkiego czuł niejako uznanie dla siebie. Uważany już był przecież za ofiarę — i pierś mu wezbrała jakąś dziwną, niby bolesną, niby przyjemną dumą, że oto on, Staś Beńkowski, taki młody, a już ponosi ofiary dla sprawy, jak to mu nakazują tradycye zacnej jego rodziny.

To też na pytanie Rudzkiego dał krótką odpowiedź: „Nie wiem, co ze sobą zrobię. To wszystko spadło na mnie trochę niespodziewanie. Jeśli trzeba będzie cierpieć, będę cierpiał, któż bowiem ma cierpieć, jeśli nie my, co mamy we krwi tradycye cierpienia za sprawę?“

Porozmawiawszy jeszcze chwilę z Beńkowskim, Rudzki wyszedł, aby porozumieć się z adwokatem co do sprawy swego syna. Indagacye policyjne wprawdzie żadnego pozytywnego rezultatu nie wydały, bo Stefek trzymał się ostro, przy skonfrontowaniu jednak z żandarmem, który go widział na dworcu, musiał przyznać kilka szczegółów, które mogły już policyi wystarczyć do wytoczenia sprawy przed sądem. „Po nitce dojdziemy do kłębka“ — z temi wielce obiecującemi słowami pożegnał obu Rudzkich komisarz policyjny.

Beńkowski, pozostawiony sam sobie, po chwili namysłu uznał za najkonieczniejsze napisać list do matki; nie ulegało wątpliwości, że sprawa jego, nabierając rozgłosu, mogłaby na nieuprzedzonej matce Stasia piorunujące wywrzeć wrażenie.

Ale zadanie napisania listu nie było łatwe. Po długiem biciu się z myślami udało się wreszcie Stasiowi napisać list, w którym, w możliwie oględnej formie powiadamiał ją o swem wydaleniu z gimnazyum, wyłuszczył powody i podkreślił ich tło narodowo-patryotyczne, a w końcu nadmienił, że w jego projektach na przyszłość żadnej zmiany to nie stanowi ponieważ i tak zamierzał wstąpić na politechnikę, gdzie świadectwa z pełnego kursu gimnazyalnego nie trzeba. „A co się tyczy utrzymania — pisał w końcu Staś do matki — to ja wam ciężarem i tak nie będę. Mam nadzieję, że dostanę stypendyum, a zresztą obecnie już mi przyrzeczono miejsce chwilowe u jednego adwokata w Poznaniu, gdzie z pewnością zdołam sobie zarobić trochę pieniędzy na pobyt w Berlinie“.

Stasiowi było bardzo boleśnie popełniać wobec matki to kłamstwo, sądził jednak, że tylko w ten sposób uspokoić ją zdoła po wiadomości tak wstrząsającej, jak wiadomość o wydaleniu jego z gimnazyum.

Drugi list napisał do swego opiekuna, który mieszkał na wsi w pobliżu Siekierzyna: prosił go o szybkie przybycie w celu wzięcia jego papierów i świadectw z gimnazyum.

Po napisaniu tych listów, Beńkowski wziął palto i wyszedł z domu. Wrzucając do skrzynki list do matki, pomyślał sobie, że od tej chwili jest naprawdę pozostawiony własnym siłom. Machinalnie wyjął portmonetkę z kieszeni i przeliczył pieniądze: miał siedem marek i dwadzieścia fenigów. Prócz tego jeden z kolegów był mu winien dwie marki, korepetycye zapewniały mu obiad i kolacye do końca miesiąca.

„Muszę zarobić w Poznaniu trochę pieniędzy na pierwszy początek, a w Berlinie już dam sobie radę“ — tak zdefiniował swe położenie Beńkowski, mając, niewiadomo czemu, wielkie zaufanie do Berlina.

Krążył koło mieszkań niektórych swych kolegów, lecz żadnego nie mógł spotkać. Niewiedział, dlaczego żenowało go po raz pierwszy w życiu w tej właśnie chwili wejście do mieszkania któregoś z nich i wywołanie go na rozmowę. Był jednak pewien, że kilku go już musiało odwiedzić w domu. Ciekawy był, co też oni powiedzą o nim, jak się zainteresują jego losem, i po półgodzinnej przechadzce podążył do siebie. Minęła jednak zwykła pora, kiedy koledzy jego schodzili się „na papierosa“ — a nikt się nie zjawiał.

Zrazu niecierpliwość, potem obawa przed czemś nieokreślonem zaczęła gnębić Beńkowskiego. „Przyjdą, przyjdą jeszcze“ — wmawiał kilkakrotnie w siebie, nerwo-

wym ruchem wyciągając zegarek z kieszeni i patrząc co chwila na wskazówki.

Aby czas zabić, zabrał się do pisania listu do jednego z adwokatów poznańskich, o którym słyszał wiele dobrego. Opisał w kilku słowach fakt swego wydalenia z gimnazyum, potem rewizyi; kilku słowami dotknął swych zamiarów zapisania się do akademii rolniczej, lub charlottenburskiej politechniki w Berlinie.

Pisał to wszystko z wielką łatwością; gdyby nie rozdrażnienie, wywołane nieobecnością kolegów, czułby nawet pewną wyraźną satysfakcyę z tego, że mógł już, jakby zupełnie dorosły, dysponować swym losem, mieć plany na przyszłość.

Lecz gdy się zbliżył w pisaniu do punktu najważniejszego do propozycyi, którą miał uczynić adwokatowi, że chciałby mieć jakiś zarobek w jego biurze, trudno było mu odnaleść właściwą formę.

Czuł niezmiernie — bo po raz pierwszy w życiu — całe upokorzenie swe, że musiał w ten lub inny sposób postawić pytanie: „Czy moja praca może ci być na co przydatną? bo — ja chcę jeść“.

I myślał w głębi duszy, że to jednak w życiu powinno być inaczej urządzone: aby człowiek nie potrzebował przychodzić ze zgiętym karkiem do drugiego człowieka i pytać go z biciem serca, czy mnie potrzebujesz?

A że Staś jeszcze karku zginać nie umiał, że — owszem — przejęty świeżem wrażeniem wypadków, które z niego czyniły „ofiarę patryotyzmu“ — oczekiwał raczej, aż wszyscy przed nim chylić czoła będą, więc w liście do adwokata poznańskiego napisał mniej więcej tyle: Potrzeba uporządkowania interesów familijnych (tem mniej nie mógł żadnych porządkować, że nawet krewnych bliskich niemiał w Poznaniu) zmusza go przed wyjazdem do Berlina do dłuższego pobytu w Poznaniu. Pobyt ten zużytkować chciałby w ten sposób, aby — jak pisał — zaznajomić się praktycznie z kwestyami prawnemi, ponieważ nie traci nadziei, że może mu się uda uzyskać prawo wstąpienia na uniwersytet. „Czybym więc w biurze pańskiem nie znalazł możności obeznania się z procedurą prawną“ i t. d.

Pisanie tego listu zajęło na chwilę jego umysł. Gdy jednak już kładł list do koperty, jego niepokój z powodu niepojawienia się kolegów w czytelni, wzrósł niezmiernie.

„Czy może u nich też robili rewizyę?“ — pomyślał z pewną obawą, a potem znów przemknęła mu myśl, że pewnie się koledzy dowiedzieli już o wykonaniu rewizyi u niego. „Czyżby się bali, żem kogo wydał?“ — rzekł do siebie i w tej samej chwili uczuł niewysłowione wewnętrzne zadowolenie, że on nad samo nawet takie przypuszczenie był wyższy. Jakżeby rad był znaleść się w tej chwili w gronie wszystkich swych kolegów i dać im się podziwiać, mówiąc: „Patrzcie, tak postępuje człowiek zasad! Przed żadną ofiarą się nie cofam! Nie odstąpiłem od tradycyi mego nazwiska, choćbym miał życie zwichnąć sobie z tego powodu!“

Nie wąpił, że nikt już nie przyjdzie do niego. Myśl, że go mogą istotnie posądzać o narażenie kogoś, opanowała go zupełnie i czuł gwałtowną potrzebę zaprzeczenia takiemu przypuszczeniu, opowiedzenia co i jak się stało.

Postanowił zatem pójść do jednego z kolegów, mieszkających najbliżej, i zawiadomić go o rezultacie rewizyi. Po chwili już dzwonił u drzwi dobrze znajomych. Ku wielkiemu jego zdziwieniu nie otworzono mu zaraz. Za drzwiami przez chwil kilka słychać było tłumiony szept kilku głosów, jakieś skrzypnięcie obuwia oddalającej się osoby, odgłos dyskretnego zamknięcia dalszych drzwi, aż wreszcie po dłuższej chwili drzwi się otworzyły i wyjrzała trzymając zapaloną lampę w ręku, matka kolegi Beńkowskiego.

„A, to pan?!“ rzekła ze szczególną intonacyą głosu, której nigdy Staś jeszcze u niej nie zauważył, a po chwili, podczas której jakby się namyślała, czy ma go wpuścić do mieszkania, czy drzwi przed nim zamknąć, dodała: „Proszę wejść“ a po jego wejściu szybkiem, niespokojnem spojrzeniem obrzuciła schody i drzwi zamknęła.

„Proszę, niech pan wejdzie dalej“ rzekła, prowadząc go do pokoju i nie czekając aż Beńkowski się zapyta, czy jej Michaś jest w domu. Staś wszedł za nią do gabinetu jej męża, a wtedy ona, niepytana, rzekła: „Michaś dzisiaj jest u naszych szwagrów i widzieć się z panem nie może“.

„W takim razie nie będę przeszkadzał“ rzekł Beńkowski, wracając ku drzwiom.

„Niech pan zostanie“, odpowiedziała matka Michasia, a gdy Beńkowski zdziwionym wzrokiem spojrzał na nią, — zbliżając się do niego, zapytała przyciszonym głosem: „Czy przy rewizyi u pana wydało się, że Michaś tam przychodził?“

Beńkowski z dumą odrzekł: „Nic się nie wydało i nic się nie wyda. Zniszczyłem wszystkie spisy członków biblioteczki“.

Głębokie westchnienie ulgi wyrwało się z piersi pytającej kobiety. Wzruszenie, które widocznie tłumiła w sobie poprzednio, było tak silne, że po słowach Beńkowskiego zmuszona była usiąść. Po chwili zarysowało się na jej twarzy wyraźnie, że szuka słów, aby się odezwać do Beńkowskiego.

Lecz zamiast pochwał, których się Staś spodziewał, usłyszał słowa, które go strumieniem zimnej wody oblały.

„Więc widzi pan, do czego to prowadzi ta cała tajna robota! I po co to było zaprzątać sobie głowy niepotrzebnemi rzeczami? Czy to nauki dla was nie dość? Na kształcenie się w języku polskim zawsze czas znajdziecie. — A wszystkiemu pan temu winien, bo pan podobno to wszystko organizował. I o mały włos tylu niewinnych młodych ludzi, którzy nie pojmują nawet doniosłości nieszczęścia, jakie ich mogło spotkać, zwichniętąby miało karyerę na zawsze!“

„Ależ proszę pani“, rozpoczął Staś, lecz mówiąca miała nieprzerwany potok słów na ustach.

„Niech pan nic nie mówi! Dla takich młokosów, jak pan, co prowadzą kolegów w nieszczęście, to nawet wydalenie z gimnazyum nie jest żadną karą. Bo to nie wydalonych tem karzą, ale rodziców!“

„I teraz to, teraz gdy przed paru tygodniami zaledwie w Śremie władza szkolna posądziła uczniów o jakieś stowarzyszenia i zawiesiła nad ich głowami grozę wydalenia, teraz wy się narażacie w dalszych czasach swemi zebraniami!

„Boga w sercu chyba mieć nie trzeba, aby innych jeszcze za sobą w niebezpieczeństwo pociągać!“ kończyła rozgniewanym głosem, a Staś, to bledniąc, to pąsowiejąc stał przed nią i nie mógł na razie zebrać myśli.

Słyszał jej słowa, dźwięczały one mu w uszach, ale miał wrażenie, jakgdyby to nie do niego były skierowane. A potem mu się zdawało, że w jego mózgu otwiera się jakaś straszna, bezdenna przepaść, w którą on wpada, a za nim biegną słowa oskarżenia, żalu, potępienia. On od nich gdzieś w bezdeń uciekał, lecz one go goniły.

Nagły skok, który zrobiły jego myśli, był za silny. Patrzył na mówiącą wciąż damę i nie mógł się zdobyć ani na słóweczko odpowiedzi.

„Niech pani odemnie pozdrowi Michasia“ rzekł wreszcie, niezdarnie się ukłonił i wyszedł. Idąc po schodach na ulicę miał wrażenie, jak gdyby przed chwilą do tych drzwi, które się teraz za nim tak nieżyczliwie zamykały, był wniósł całe swoje bogactwo — i oto wraca ogołocony, obdarty ze wszystkiego

Wyszedłszy na ulicę, długą chwilę stał, nie mogąc się zdecydować, w którym ma iść kierunku. Właściwie mówiąc, obojętnem mu było najzupełniej, dokąd pójdzie — właśnie też dlatego stał. Było mu wszystko jedno. Cały świat stracił w jego oczach nagle swe życie, stał się nieruchomy, zimny, obojętny — stał się ze świata, w którym każdy człowiek z pomocą wielkich przyjaciół zwalcza wielkich wrogów, — światem, w którym każdy żyje dla siebie, gdzie niema ani wielkich przyjaźni, ani wielkich nienawiści, gdzie wszystko się dzieli na dwie nierówne i sobie obce części: jedną — słów a drugą — czynów.

I stał tak chwilę długą, nie mogąc zebrać myśli bezładnych. A w sercu mu się odzywał jakiś pierwszy lęk wobec tego świata, wśród którego stanął oto samotny..

Jego dusza przebyła pierwszą bolesną próbę życia.

(Ciąg dalszy nastąpi).



TADEUSZ BŁOTNICKI.

Twórca pomnika Mickiewicza, świeżo właśnie postawionego w Tarnowie jest autorem kilku pomników w kraju. Mianowicie w roku zeszłym odsłonięto pomnik Tadeusza Kościuszki w Jaśle, a przed dwoma laty bardzo piękny pomnik Mickiewicza z marmuru kararyjskiego w Stanisławowie. Po za temi jest p. Tadeusz Błotnicki twórcą mnóstwa pięknych rzeczy, ozdabiających Lwów, Kraków i prowincyę. Przypominamy tylko, z najbardziej znanych jego dzieł melancholijną „Świteziankę", ozdabiającą studnię na placu Halickim we Lwowie, przepyszną grupę wyobrażającą Dramat, na attyce krakowskiego teatru i skończenie piękny biust Franciszka Smolki, zakupiony przez Radę miasta Lwowa. Biust ten czeka godnego pomieszczenia w sali obrad Rady miejskiej i żałować wypada, że rozpolitykowany Lwów dotychczas o tem uczczeniu znakomitego parlamentarzysty i chluby naszej narodowej nie pomyślał. Idzie zaś, jak nas informują, o ustawienie prześlicznego tego biustu na stylowym piedestale, co chyba trudności żadnych przedstawiać nie powinno. Na rekonstrukcyę sali czekać, byłoby, jak sądzimy, trochę za długo.

Szanowni Czytelnicy wybaczyć zechcą to drobne odstąpienie od osoby autora pomnika Mickiewicza w Tarnowie i sympatycznego rzeźbiarza, uczyniliśmy jednak ze względu na pietyzm dla śp. Franciszka Smolki, co nas chyba w zupełności usprawiedliwia.

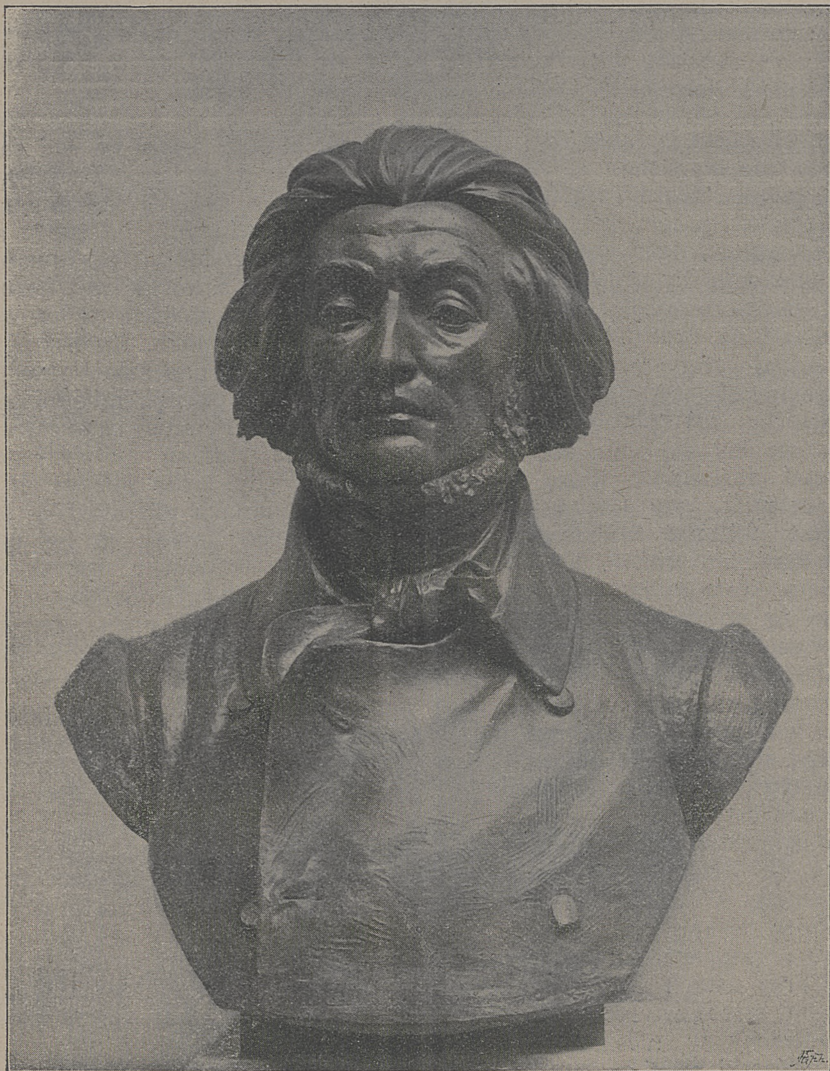
Ale powracamy do p. Tadeusza Błotnickiego. Otóż dzielny ten artysta jest dzieckiem Lwowa, urodził się tu w roku 1858 i tu uczęszczał do szkół. Pochodzi z rodziny artystyczno-literackiej. Ojciec jego, ś. p. Edward Błotnicki, był znanym publicystą i wybornym rysownikiem, brat Stanisław jest znanym literatem i dziennikarzem, Rzeźby uczył się nasz artysta w szkole sztuk pięknych w Krakowie pod słynnym Marcelim Gójskim, następnie zaś w akademii wiedeńskiej pod znakomitym profesorem Zumbuschem, uzupełnił zaś je studyami w Monachium, Florencyi, Rzymie i Paryżu.

Obecnie mieszka p. Tadeusz w Krakowie, gdzie za Wisłą, na Dębnikach, ma swoją willę i patrząc na zadumany Wawel prześliczne w swej pracowni tworzy rzeczy, zakochany w swej sztuce po same uszy. Na niewdzięczność tę kochania użalać się chyba nie ma prawa. Szczęśliwy człowiek!

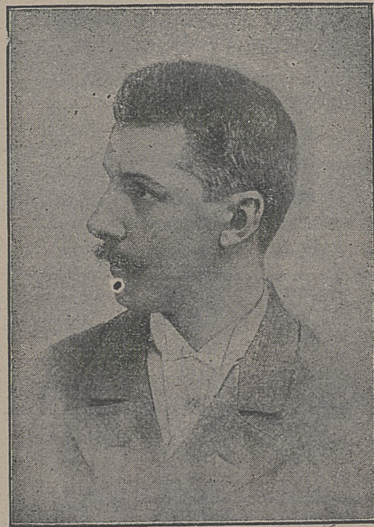
Po tej krótkiej charakterystyce twórczości artysty powiemy słów kilka o najpiękniejszem z dzieł jego, jakiem niewątpliwie jest pomnik Adama Mickiewicza odsłonięty niedawno w Tarnowie.

Oto przedstawia on znacznych rozmiarów, bo 1·10 m. wysoki biust wieszcza, z bronzu o zielonej patynie, bardzo harmonijnie i estetycznie związany ze zdobną w emblemata bronzowe, 3·40 m. wysoką podstawą architektoniczną z czerwonego kamienia trembowelskiego — według oryginalnych rysunków Błotnickiego, w pracowni kamieniarskiej C. Kulki w Tarnowie wykonaną.

Tadeusz Błotnicki.



BIUST Z POMNIKA ADAMA MICKIEWICZA W TARNOWIE.



TADEUSZ BŁOTNICKI.

Na dwóch kondygnacyach stopni wznosi się w stylu włoskiego odrodzenia utrzymany postument — o profilu czystym i jasnym. W dolnej jego części uderza nas głównie bogaty w żłobkowania torus, przewiązany bronzowemi wstążkami — na którym z przodu opiera się renesansowa lira bronzowa z szarfami, utrwalającemi daty urodzenia i śmierci wieszcza. Wyżej wznosi się cokolwiek ku górze kamienny trzpień, od frontu przekształcony w hermę a kończący się kapitałem, którego spływ ku hermie tworzy łagodnie ścięty liść kamiennego akantusa.

Całość robi wrażenie rzeczy nadzwyczajnie prostej. Koroną jej bezsprzecznie jest sam biust, szeroko i pewnie i z rozmachem modelowany — a przecież daleki od wszelkiej dekoracyjności — przyczem cechujący się nadzwyczajną wiernością w podobieństwie i wyrazie natchnionej twarzy Mickiewicza.

Bo też rzeczywiście opracował go artysta z całą ścisłością według doskonałych i autentycznych źródeł współczesnych, jak portretu daguerrotypowego Adama z lat czterdziestych, portretu zrobionego przez Tepę, maski pośmiertnej — oraz mnóstwa podobizn, nagromadzonych w krakowskiem Muzeum narodowem.

Artysta, obdarzony nadto niezwykłą intuicyą wewnętrzną — z tego haosu szczegółów potrafił wyrobić sobie pojęcie takiego obrazu oblicza Adama, który nie jeden moment z jego życia i nie przelotne wrażenie oddaje — ale odbija w sobie całość i jednolitość ducha tego wielkiego człowieka — i takim go nam przedstawił, jakim go każdy z nas sobie wyobrazić musi. Ma też to oblicze spiżowe i coś orlego i coś królewsko dumnego, coś boskiego; ma zadumy i natchnienia piętno, a przedewszystkiem ma to, co uwidocznionem musiało być na twarzy w około ust i w żrenicach wieszcza, gdy mówił:

„Polały się łzy me czyste, rzęsiste
„Na me dzieciństwo sielskie, anielskie,
„Na moją młodość górną, a chmurną —
„Na mój wiek męski — wiek klęski..."



Henryk Zbierzchowski.

O zmierzchu.

Gdy mrok się szary do mej izby wtoczy,
Po kątach wizye wyprawiając zdradne,
Głowę skroniami na poduszki kładnę,
Zamykam mocno powiekami oczy.

Lecz próżno chciałbym, ciszą kołysany,
Wsiąknąć bez czucia w te mroki i cienie;
Z godziną zmierzchu zaczął swe istnienie
Jakiś świat drugi, tajemny, nieznany...

W powiekach, lekko pod naciskiem drżących,
Dostrzegam przestrzeń głęboką i czarną,
W której się zwolna kołyszą i garną
Tysiące kropek złotych i świecących.

Jedna za drugą w szereg się układa,
A potem w przestrzeń na krawędziach siną
Zwolna całemi gromadami płyną,
Jakgdyby ptactwa wędrownego stada.

Czasem, gdy szereg przypłynie ostatni,
Znów czarna mroków zamyka się ściana,
I tylko jedna gwiazda zapomniana
Przemknie z pośpiechem do gromady bratniej.

Może to płyną owe gwiazdy święte,
Które duch Boży rozpalił nam w duszy,
A noc wieczysta blask ich cudny głuszy,
Że gasną dla nas obce, niepojęte?

Może to płyną łzy niewypłakane,
W nocach bezsennych i długich poczęte,
I nasze dole tułacze, przeklęte,
Na wieczeą drogę i na ból posłane?

Może to bóstwo zsyła nam przestrogę,
Że gdy z wieczności głuche padnie słowo,
To trzeba z dumnie podniesioną głową
Zawsze gotowym być na długą drogę?

Naprożno chciałbym, ciszą kołysany,
Wsiąknąć bez czucia w te mroki i cienie;
Z godziną zmierzchu zaczął swe istnienie
Jakiś świat drugi, tajemny, nieznany...



TADEUSZ STERNAL.

(Z papierów pośmiertnych).



Bez woli — bez winy.

SZKIC POWIEŚCIOWY z r. 1772.

(Ciąg dalszy.)

X.

O, jakże odmiennym zdawał się młodej dziewicy ten drugi konfederat. Drugi już tydzień bawił u nich, był miłym, rozmownym, grzecznym dla staruszki i dla niej samej, ale nikł w porównaniu z panem Parackim, już choćby dlatego, że tamten był jej narzeczonym, że się oboje kochali, że do niej należał. Od wyjazdu Parackiego nie było godziny w tych dniach, które jak powierzchnia wody podczas ciszy zawsze jednakowo wyglądały, nie było godziny, aby o oddalonym swym bohaterze nie myślała. Pierwsza miłość głęboko zapuściła korzenie w młode serce.

Co do Karskiego, choć sam młody i w sprawach sercowych niedoświadczony, poznał się na milczeniu i małomówności Anny. Od pierwszego wejrzenia podobał mu się ten sielski kwiatek, i były nawet chwile, w których żałował szczerze, że zawiedzie się na Parackim, gdy po długich latach ani słówka o nim się nie dowie i przekona się o prawdzie tego, co jej wkrótce zamyślał powiedzieć.

Nadeszły żniwa, Karski postanowił stanąć do roboty razem z Anną, a podczas najprzyjemniejszych mu chwil, kiedy o południu zmęczeni usiadali pod laskiem do obiadu, przysłanego przez babkę, okazywała mu wyraźnie swoję życzliwość. Raz zaszła mowa na konfederacyę, uznał tę chwilę za stosowną.

„Nie wiem, jak się nam teraz powodzi, dzielny Paracki, mój pułkownik, nie wiedzieć, gdzie się obraca, nie ma komu zbierać sił gorliwie i zachęcać“.

Annie wydarł się z ust lekki wykrzyk, który nadaremnie stłumić chciała. Babka popatrzała na nią nie mniej wzruszona. „Byliśmy razem w stolicy przed niedawnym czasem a kiedy zagrożono nam śmiercią jeżeli nie opuścimy natychmiast konfederacyi, pan pułkownik do mnie zostawił tylko pismo i mówiąc, że Pan Bóg przyjmie go niedługo do siebie, prosił o przechowanie tego pierścionka“, przy tych słowach, Adam, nie udając już wzruszenia, wskazał na jeden z palców, na którym błyszczał złoty pierścień. Anna bladą twarz schowała w dłonie i płaczem wybuchła, babcia zaś poczęła ją tulić, choć samej na łzy się zbierało. Adam udawać musiał zdziwienie, które wtedy dopiero już ustąpiło, gdy Lacka, wobec pierścionka nie widziała potrzeby dłużej taić, kogo w Parackim stracili. Adam z gorącem uczuciem, które oddawna się rozwijało, nie mógł się powstrzymać i przypadł do Anny i począł całować ją po rękach, nie mogąc wymówić słowa na pocieszenie. Babka z rozczuleniem patrzyła na oboje; w jej głowie na widok dorodnego młodzieńca, zrodził się może jaki plan.

Od dnia tego zmieniły się stosunki u Lackich. Przez cały czas roboty Karski już to w polu, już w domu musiał opowiadać Annie na pytania, które mu stawiała o Parackim, a czasem korzystając z pociechy, którą jej sprawiał, śmielej patrzał w błękitne oczy, czasem przytrzymał rączkę dłużej przy ustach. Nigdy mu tego nie broniła, bo serce zawsze potrzebuje wylania i pociechy w nieszczęściu. Ze swojej strony Karski pewien był, że pokochał Lacką i nie przestał się pocieszać, że z czasem zajmie miejsce Parackiego, choć gdy się wybierał do dworku ubogiej wdowy, ani nie myślał o tem.

Żniwa się skończyły, a gdy przy zachodzie słońca ustały na rok cały śpiewki żniwiarzy i dzwonienie sierpów, a Karski z Anną sami wracali do domu, stało się to w życiu młodych, od czego rachuje się zawsze miłość. Mówił jej otwarcie o swojej miłości, całował z uczuciem ręce a na to znalazł ją w odpowiedź w swoich ramionach. Kochał ją, i był kochany, a z tem nadeszła i chwila refleksyi. Co dalej, co począć może ajent moskiewski? Takie pytanie zadawał sobie ile razy jej nie widział, bo wszystko rozwiewało się, gdy tylko poczuł jej obecność. Po trzech dniach nie wiedział jeszcze, co począć, a na dobicie go w tym stanie, zjawił się we dworku żebrak, niosąc list z Warszawy od Szubalskiego, w którym ten wyraźnie mu pisze, że ambasador chce go widzieć koniecznie koło siebie w ważnej sprawie, tem bardziej, że po ś m i e r c i Parackiego nie ma powodu włóczyć się dłużej po kraju.

Uderzył go przedewszystkiem ten wyraz: śmierć. Skąd u licha oni o tem wiedzieć mogą. Miesiąc, kilka tygodni ledwie minęło, odkąd Paracki tajemnie go opuścił, wiedzą już tam o tem, i to mówią wyraźnie „śmierć“. Czytał list po raz drugi i przypominał sobie, że musi wracać do Warszawy, bo go wołają tam obowiązki służby. Od nieboszczyka Parackiego wiedział, jak się w takich razach postępuje wobec istoty ukochanej i jak on sobie postąpił. „Prawda, prawda“, mówił jednak zaraz z ironią, on mógł jej

obiecywać, że powróci i ożeni się, bo był majętny. A ty co! nie masz nic, oprócz kilku rubli moskiewskich, które ci z dnia na dzień dają, albo mogą odebrać, i nadaremnie toczył znękany wzrok do koła po okolicy; konieczność opuszczenia Anny stawała mu coraz wyraźniej przed oczyma. Zmęczony usiadł pod drzewem, gdzie w czasie żniwa tak często we dwoje odpoczywali. Patrzał na wieś, która służyła za mieszkanie drogiej Annie jego, a która mu się też cudownie piękną teraz wydawała. „Daremnie, daremnie“, powtarzał raz po raz i zamyślony spuścił głowę. Po jakimś czasie usłyszał znany głos śpiewający, podniósł wzrok i o kilka kroków ujrzał Annę. Wstał szybko i chwycił ją za rękę: „Ciężko, ciężko, ty moja gołąbko! Wołają koniecznie do Warszawy, wracać muszę, opuścić ciebie“. Annie żywo przed oczyma stanęła chwila, kiedy Paracki, odjeżdżał, ale było to przelotne wspomnienie, bo wnet zajęta tylko Adamem, zbladła i z żalem poczęła mówić:

„Jedziesz i ja znowu samą zostanę. Mój Boże, samą, co ja zrobię“.

Było to w południe. Słońce gorąco paliło nawskroś ziemię i ludzi, dając tam tylko spocząć, gdzie wzbraniał mu przystępu dach, lub gęsta zasłona z liści. Właśnie o kilka kroków rozpoczynał się ciemny cień lasu i tam skierowali się młodzi.

„Pójdźmy, pójdźmy“, mówił Adam, opowiem ci wszystkie troski swoje, posłuchaj. Jam nie konfederat“, wyjęknął nieśmiało, ale wkrótce ciągnął już śmielej, widząc, że Anna, która nie rozumiała się dobrze na stosunkach, nie wzdrygnęła nawet. Począł jej opowiadać teraz dopiero całą prawdę, przekonanie swe o Moskwie wlewając nienaruszone w serce Anny, jedynie zdarzenie o Parackim łagodniej przedstawiając. Od chwili, w której przybył do stolicy, aż do czasu, gdy ją opuścił, wszystko określił jej. Nadzieje, polegające na Moskwie, i błędne postępowanie barskich, wszystko to znalazło odblask w żywej mowie. A gdy skończył, nie potrzebował pytać, czy jej równie miły, jak przedtem, bo ścisnęła mu dłoń przyjaźnie i pozwoliła ucałować się w rękę. Milczeli kilka chwil, idąc ciągle przez gęstwinę leśną, nie wiedząc sami, dokąd.

Wtem zagrzmiało raz i drugi, chmury zebrawszy się, zaćmiły słońce zupełnie, z nieba lunął deszcz,a równocześnie zerwał się wicher szalony. Oboje trwoga zebrała, tak daleko do mieszkania ludzkiego; nim namyślili się zwrócić się do wsi, Adam pociągnął za rękę i przeszedłszy kikanaście kroków, zmoknięci już zupełnie, znaleźli się na małej równinie, otoczonej dokoła drzewami, na której stała drewniana chatka niewielka, służąca czasem do odpoczynku podczas polowania. Adam wiedział o jej istnieniu, a na teraz nie można było znaleść lepszego schronienia. Weszli szybko do niewielkiej izdebki, próżnej prawie zupełnie oprócz kulawego stołu i posłania w kącie ze słomy i mchu. Znużona i przestraszona upadła Anna Adamowi w objęcia, wzdrygając się ile razy zagrzmiało trwożnie z towarzyszeniem wichru.

Letnia burza niedługo trwała. Zachodzące słońce wszedłszy, zastało już cichą, spokojną okolicę, deszczem nanowo do życia przywołaną, krople sącząc się kiedy niekiedy z liścia na liść, oświecone czerwonym blaskiem zachodu nadawały okolicy podobieństwo do twarzy młodej dziewczyny na której twarz zroszoną jeszcze łzami, pieszczoty kochanka uśmiech wywołały.

A Karski i Anna po kilkugodzinnem sam na sam oczekiwaniu pogody, wrócili do domu poważni, małomowni. Tylko gdy starościc wyszedł wieczór, w dworku słychać było płacz cichy Anny: stara babka przypomniała Parackiego... Anna przyzwyczaiła się już uważać go za umarłego.

W tydzień wyjechał Adam, pozostawiając we łzach Lacką. Drugi to raz opuszczano ją kochającą, a jakże odmienne były te dwa rozstania!



Tadeusz Błotnicki.

POMNIK TADEUSZA KOŚCIUSZKI W JAŚLE.

XI.

Minęło kilka miesięcy, więcej, bo pół roku, a kowale dyplomatyczni, zacierając ręce, bezwzględnie dążyli do wytkniętego celu. Konfederacya upadła, na niczem spełzło powstanie Ogińskiego, każdy dzień przynosił nowe zdobycze. Adam, opuściwszy rodzinę Lackich, przybył w jesieni do Warszawy; na stanowisku zastał Szubalskiego i sam też, nie mając co innego robić, posępny rzucił się w objęcia Moskali. Mało zastanawiało go teraz, co robi: kazali zgóry dla ratunku ojczyzny, kazał ambasador Najjaśniejszej carowej, wykonywał wszystko dokładnie. Czasami, gdy kilka dni bezczynnie przełaził po mieście, przychodził mu na myśl dworek z pod Lanckorony, mignęła mu postać Anny wyraźniej — nigdy go bowiem nie opuszczała zupełnie — i wtedy zastanawiał się, na czem się to skończy wszystko a przedewszystkiem, czy Anna będzie mogła kiedyś zająć miejsce towarzyszki życia. Jak dotychczas, ani śladu nie było czegoś podobnego. Skromne zasiłki rosyjskie wystarczały wprawdzie jemu samemu, ale na dwoje zamało, a nietylko to martwiło i gryzło Karskiego, lecz myśl, żeby ukochaną przywiązywać do boku ajenta. A jeżeli tego nie zrobi, jak przyjmą ludzie Annę... jakie miejsce naznaczą jej, sama babka nawet...

Dni płynęły mu jednostajnie, nie urozmaiconą nawet żadną pohulanką, odsunął się był bowiem zupełnie od Szubalskiego i tego rodzaju ludzi. Podczas zapust tylko, gdy na wieczerze ambasador potrzebował kilku kontuszowców, żeby pochwalić się sympatyami Polaków, razem z innymi stawał w pięknym stroju na rozkaz pański. Z N. był, jak to mówią, na dobrej stopie, odgrywał rolę domownika, potrafiono bowiem doskonale odróżnić w tłumie otaczających Moskali osób, Karskiego. N. przyjmywał go grzecznie, rozmawiał poufnie, przedstawiał żonie i córce, a gdy rozstał się z nim, zawsze zacierał ręce, ciesząc się z tej znajomości. Wten sposób minęły Karskiemu dnie aż do wiosny.

Nadchodziła Wielkanoc, wielki post; Warszawa opustoszała i był to istotnie wielki post przed pierwszem ukrzyżowaniem. Dnia jednego Karski, wezwany o niezwykłej godzinie do ambasadora, bo po północy, stanął na rozkaz, mimo zmęczenia, wrócił bowiem niedawno z wycieczki o kilka mil od Warszawy. Od niejakiegoś czasu począł się domyślać nieszczególnego stanu interesów, ambasador bowiem był niezwykle zły, tajemniczy i milczący, groził nawet, że porzuci służbę; chodziło prawdopodobnie o stosunki z dworem petersburskim. Myślał Karski, może tajemny rozkaz opuszczenia posady. Z temi myślami wszedł do gabinetu; zastał tam Szubalskiego. Dziwną odrazę i wstręt uczuł dzisiaj do tego człowieka i usiadł opodal nic nie mówiąc, czekając na pierwsze słowo ambasadora piszącego coś przy biurku. Wstał ten nareszcie, Karski bystro spojrzał i domyślił się ogromnej ważności sprawy, względem której go tu przywołano, ambasador bowiem strasznie dziś wyglądał, blady z rozczochranemi włosami i oczami siną obwódką otoczonemi.

Przybliżył się do Adama i przyciskając mu ramię ręką, gdy powstać chciał, zmusił go do siedzenia, sam coś stanął nad nim.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Bertold Menkes.

Z pobytu w Krakowie.

TEATR.

„...Budzą się w naszej duszy niekiedy tak dzikie tęsknoty, których w życiu nie znamy...“ powiada bohater *„Sobótki“ Sudermanna.* Tęsknica nie zna oków życiowych, nie zna względów religijności, więzów moralności — szybuje hen, ku rozłogom szczęścia. I rzecz dziwna. Latami całemi pędzimy życie szare, przetykane, jak stumilowy pokład ziemi, cienką żyłą złota, ową nieuświadomioną tęsknotą. Aż — raz — chwila jedna — duszą dreszcz wstrząsa — — To tęsknica ucieleśniła się, znalazła punkt oparcia i... prysła. I znów życie szare...

Taką jest podstawowa idea „Sobótki“.

Ale Sudermann nią się nie zadawalnia. Pragnie nam udowodnić, iż fałszem jest twierdzenie, jakoby kultura zdołała wykorzenić z duszy naszej instynkta pogańskie, te nieskrępowane wędzidłami, jakiemi zarzucono przyrodzone nasze popędy. Nawet człek powszedni, ten „fachowy“, zjadacz chleba, zapomni o wszystkich zobowiązaniach życiowych, o honorze, przyzwoitości, stosunkach rodzinnych i tych wszystkich cywilizacyjnych nabytkach, kiedy nagle, trafem okoliczności spowodowana, erupcya przyrodzonych instynktów w nim się dokona.

Wtedy on, poganin, eudaimonista. Wtedy z przedchrześcijańską pożądliwością życia i używania dąży do zwalczenia przeszkód, jakie wokół się piętrzą, dąży do stanu, który Stirner zwie: „Abstossen der Welt“. „Alles Weltliche muss vor ihm zu schanden werden, so dass zuletzt Familie, Gemeinwessen, Vaterland u. dergl. um des Herzens, d. h. der Seligkeit, der Seligkeit des Herzens willen, aufgegeben wird“. Wtedy miłość nie jest dlań ukojeniem, jeno szałem. Wtedy wizya życia nie objawia mu się, jako świetlana, spokojem owiana atmosfera szczęśliwości ziemskiej, ale jako skłębiony, piekielny wir, w którym szał pląsy wije...

Ale — powiada Sudermann — aby taką chwilę wywołać, trzeba trafu. To też śmiesznym wydał mi się zarzut, powtarzający się niemal we wszystkich krytykach „Sobótki“, w których panowie recenzenci z wielkiem oburzeniem wypominali tak staremu praktykowi, jak Sudermann, iż prosty przypadek, traf, główną w „Sobótce“ odgrywa rolę. Ależ właśnie! Sudermannowi o to właśnie szło: trafem tylko mogły przez wzajemne na się oddziaływanie obie tęskniące ku objawieniu szczęścia dusze doprowadzić do takiej erupcyi miłości, iż jak wybuch wulkanu, pogrążyła w zapomnienie wszystko, co ich otaczało.

Dzieci to były wykolejone z normalnego biegu życia: on — syn samobójcy, wychowany w domu wuja, samodzielny, dumny i uparty; ona — znajda, córka żebraczki, złodziejki, przyjęta w maleńkości w ten sam dom. W nim, jako mężczyźnie, prędzej obudziła się świadomość pożądania fizycznego; pokochał ją wtedy, kiedy ona tego nawet przeczuć nie mogła. A kiedy w kilka lat potem nią to samo uczucie owładnęło — było już zapóźno... On zobowiązał się już do poślubienia córki wuja, jego już życie w swe szpony porwało.

I wtedy... bezpośrednio przed jego ślubem... w ciągu kilku dni uświadomili sobie, że właściwie do siebie należeć powinni. W ciągu kilku dni — bo więcej nie trzeba — zbliżyli się do siebie tak dalece, iż powoli całe otoczenie dla nich zanikać poczęło, iż żyć poczęli tylko myślą o sobie, a w myślach swych coraz śmielej i konkretniej umiejscawiać się poczęła wizya obopólnego szczęścia, aż w chwili najwyższej ekstazy padły w sobie w ramiona oba żarem młodości rozpalone ciała. — — —

A potem... Jego zobowiązania życiowe z kleszcz nie wypuściły: poślubił poczciwe naiwną swą kuzynkę; a ona... jak liść zwiędły padła na szary ugor życia...

Dziwny przełom zdaje się dokonywać w dziejach twórczości Sudermanna. Przed kilku jeszcze laty był osobą, pośredniczącą między Ibsenem a Hauptmannem. Ibsen uchodził jako wcielenie spraw par excellence społecznych, jako jeśli nie reformator, to odtworzyciel wadliwości obecnego ustroju socyalnego — Hauptmann jako coś zupełnie przeciwnego: używał społeczeństwa nie jako celu swej artystycznej twórczości, ale jako środka, nie aby mu tendencyjnie wytknąć pewne zalety lub wady, ale by jego przejawy z punktu widzenia artysty przedstawić. Dlatego, kiedy Ibsena zwano myślicielem, ponurym i poważnym, a zawsze zgryźliwym krytykiem społeczeństwa, rozsiadłym na Północy i ztamtąd ciskającym prawdę w oczy — Hauptmann był więcej plastykiem, czyto jako „symbolista“ (Dzwon zatopiony), czy jako „romantyk“ (Hanusia) czy wreszcie jako „realista“ (Furman Henszel).

A pośrednie między tymi dwoma zajmował stanowisko Sudermann. Do Ibsena upodabiał się pod względem tendencyjnego przedstawienia spraw społecznych, z Hauptmannem zaś łączyła go pewna objektywizacya, dążność do odmalowywania samego społeczeństwa.

Stąd też pochodzi, iż znajdując zarówno w dziełach Ibsena, jak z drugiej strony w utworach Hauptmanna o wiele silniejszy wyraz zapatrywań na sprawy bardzo żywotne, poczęto Sudermanna w ostatnich czasach podporządkowywać tym dwom, a nawet stawiać niesłusznie niżej od całego szeregu dramaturgów współczesnych.

Wyczuł to, zdaje się, Sudermann, bo od pewnego czasu wziąwszy rozbrat z dawniejszą metodą tworzenia, począł się przeobrażać. Już jego "Jan Chrzciciel" innym, zgoła nie-„sudermanowskim“ jest owiany duchem. Nic więc dziwnego, iż w trakcie tego przeobrażenia błędy, rażące błędy popełniał, tak iż krytyka literacka niemiecka poczęła go przyjmować nawet z pewnem lekceważeniem. Ale doszedłszy do zupełnego uświadomienia nowego sposobu tworzenia, napisał „Sobótkę“ i mimo uprzedzenia krytyki — zwyciężył.

Tak sobie tłumaczę, dlaczego w Berlinie chłodno jego „Sobótkę“ przyjęto, a dlaczego poza murami tego miasta (we Wiedniu i Krakowie) utwór ten dramatyczny wielkie zyskał powodzenie.

Bo „Sobótka“ jest bardzo wybitnem, wcale nie tuzinkowem dziełem dramatycznem.

— — — — — — — — — —

Dwoma sposobami może autor dramatyczny utrzymać kontakt z publicznością. Albo na tyle ma sprytu i zręczności, iż krocząc drogą starą i utartą, czyni wrażenie, albo posiada na tyle siły i śmiałości, aby wejść na drożynę nową, przez się dopiero tworzoną i działać, jako nowator. Z chwilą atoli, kiedy zarówno spryt w dobieraniu tematu, zręczność w wyzyskaniu szczegółów go opuszczą, kiedy z drugiej strony zabraknie mu siły i śmiałości, aby głosić nową, nieznaną prawdę — z tą chwilą winien choćby dla utrzymania swej sławy na jednakowym poziomie, przestać tworzyć, zadowolić się wspomnieniem, żyć przeszłością.

Odnosi się to nietylko do autora dramatycznego. Aktor, publicysta, słowem każdy twórca artystyczny powinien instynktownie wyczuć moment, kiedy sobie musi powiedzieć: dosyć!

A jeżeli nie wyczuwa, powinni mu go inni wskazać.

Takie uwagi nasunęły mi się podczas przedstawienia *„Blagierów“ Bałuckiego.*

Autor tak zasłużony, tak rozgłośny, jest świadkiem kilkukrotnych upadków swych ostatnich komedyj, jest świadkiem jak mimo popularności swej „firmy literackiej“, nastrajającej publiczność przychylnie, i to tę krakowską, przyzwyczajoną do entuzyastycznych oklasków dla swego ulubionego Bałuckiego — już na drugiem przedstawieniu na sali pustki panują...

Widocznie przyczyna takiego traktowania dawnego ulubieńca, tkwi w rozdźwięku, jaki panuje między dotychczasowem jego tworzywem, a obecnem.

To też mimo poszanowanie dla zasłużonych, mimo wielką tolerancyę dla mniej udałych tworów ducha, dobro literatury wymaga, aby w takich okolicznościach postępować zupełnie bezwzględnie. Tu nie pomoże mydlenie oczu publiczności, pocieszanie jej echami dawnej wielkości — tu w myśl popierania ewolucyi ku rozwojowi coraz doskonalszemu, należy trzebić wszelkie czynniki zawadą stojące i przeszkadzające.

Może to bezlitośne, ale konieczne.

To też najmniejszej nie mam ochoty zająć się rozbiorem najnowszej sztuki Bałuckiego. Wypada jedynie zaprotestować przeciw wystawianiu tak słabych i szablonowych rzeczy pod płaszczykiem wielkości firmy literackiej.



Bertold Menkes.

PAN ROMAN.

Jasno zdaję sobie z tego sprawę, iż ilość miejsca, jaką rozporządzam celem zadosyćuczynienia wymogom czytelnika, w odwrotnym stoi stosunku do wielkości i głębi osoby, o której mam pisać.

Pan Roman należy bowiem do tych artystów, o których albo się wcale nie mówi, albo — chcąc być sprawiedliwym — bardzo wiele. Bo zbyć go szwargotem „krytyki teatralnej“ niepodobna; żaden zresztą z stereotypowych i ogranych jak katarynka wyrazów ze słownika krytyki, doń się nie dostraja, wzgl. pan Roman do żadnego z nich.

Wobec więc szczupłych ram, w jakich zamknąć muszę charakterystykę zarówno istoty p. Romana, jak i jej przejawów, zaledwo w ogólnych rysach zaznaczyć mogę to, co — zdaniem mojem — dałoby się w pojedyńczych przypadkach (poszczególnych rolach) potwierdzić.



Pan Roman jako p. Pasek (Grochowy wieniec).

Powiada August Strindberg*): Tajemnica wielkości aktora polega na przyrodzonej zdolności, iż w pewnych chwilach może dusza jego wypromienić i w ten sposób wejść w styczność z publicznością.

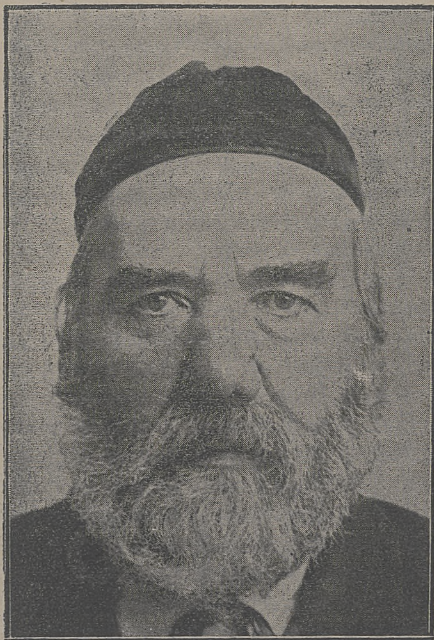
Nie poddajmy tego zdania krytyce filozoficznej, przyjmny hipotezę o promieniowaniu dusz i przypatrzmy się jej, mając równocześnie w pamięci działalność p. Romana. I nasunąć nam się musi myśl, iż działalność p. Romana jest w zupełności potwierdzeniem powyższego zapatrywania.

Boć zawsze, kiedy tylko p. Roman na scenie się pojawi, uczuwamy jakiś przypływ sympatyi, który oplątowuje nasze dusze, i w ten sposób nas łączy z nim na scenie wcielonym w daną postać.

Działanie to ujawiło się np. w bardzo wielkim stopniu podczas przedstawienia „Rodzeństwa“ Grabowskiego. Grał tam p. Roman rolę młodego żonkosia, figurę wcale nie starannie przez autora charakteryzowaną, a nawet w trakcie akcyi dość zdaleka od widza trzymaną. A przecież sylwetka p. Romana była nam najmilszą, najbardziej do naszego upodobania dostrojoną. Kiedy po przedstawieniu opuszczałem teatr, zapytał mię jeden ze znajomych:

— Wytłumacz mi, jakim sposobem Roman mógł się stać tak miłym?

W pytaniu tem znalazłem wyraz mych własnych wrażeń.

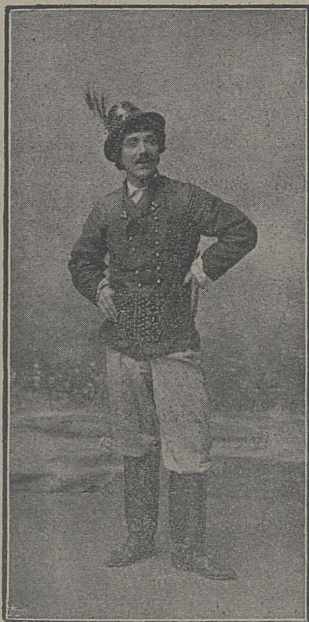


Pan Roman jako stary Firułkes (Małka Szwarcenkopf).

I na tej właściwości talentu p. Romana zasadza się różnica między nim, a innymi wykonawcami pewnych ról.

Przypuśćmy, iż rolę Etschepare'a (Czerwona toga) gra p. Żelazowski. Zagrałby ją bez wątpienia dobrze, nawet bardziej może subtelnie, wyrafinowanej, drobiazgowej. Ale przecież nie wywołałby we widzu tych uczuć, (w tym wypadku litości), wyciskających mu niemal łzy z oczu na widok tego nieszczęśliwca. Postać Etschepare'a w interpretacyi Żelazowskiego bralibyśmy więcej ze strony krytycznej, z Etscheparem Romana współczujemy. Promień sympatyi łączy naszą duszę w duszę postaci, działającej na scenie.

Co do tego powiada Strindberg, że aktor, chociażby posiadał wielką inteligencyę i głębokie studya, ale nie miał zdolności wyjścia poza siebie (das Vermögen, aus ich selbst herauszugehen), nigdy na scenie wrażenia nie zrobi. „Eingeschlossen in sich selbst, wird sein Gemüth nicht in die Gemüther der Zuschauer hineindriugen können“.



Pan Roman jako Jasiek (Zaczarowane koło).

Tak pojąwszy najistotniejsze, zdaniem mojem, znamię talentu pana Romana, powiedźmy okiem po przejawach jego działania.

Tu uderza nas przedewszystkiem jego metodyczność. Śmiało twierdzić mogę, iż z pewną, ściśle dlań uświadomioną metodą, wszystkie swe postaci wykuwa. Nie ma u niego prób, jest pewność, z góry uplanowane postępowanie. Pan Roman nie improwizuje na scenie. Świadomie aż do najmniej widocznych szczegółów ucieleśnia postać, jaką autor widział okiem duszy, stwarzając ją na papierze. Stąd to pochodzi, iż prawie rozdźwięku nie ma, kiedy się czyta jakiś utwór i wyobraża pewną postać, a potem ją widzi w intepretacyi Romana. Np. „Pan Jowialski“ w interpretacyi Solskiego zadawala mnie w zupełności, ale nie jest jedynym wyrazem tej postaci, bo zgadzam się rówież na pojmowanie tej roli przez śp. Zboińskiego, natomiast Szambelan w interpretacyi Romana jest j e d y n e m, najlepszem uzewnętrznieniem mych wyobrażeń o tej postaci, nie pozostawiającem w mym umyśle żadnych wątpliwości, żadnych zastrzeżeń.



Pan Roman jako Ossyp („Burza“ Ostrowskiego).

I rzecz dziwna. Właściwość ta byłaby u każdego wadą, u p. Romana jest zaletą. Bo, jak wiadomo, przerost metodyczności zabić może samodzielność, wytworzyć szematyczne pojmowanie różnych, czasem nawet sprzecznych rzeczy, doprowadzić do szablonu. Tak się dzieje zawsze i wszędzie, gdzie owej skłonności ku metodzie nie jest przeciwstawiona dusza bogata w inwencyę i intuicyę.

Dwa więc najważniejsze, bo decydujące o powodzeniu, czynniki gry scenicznej posiada pan Roman: duszę o nieprzebranych skarbach pomysłowości, ucieleśniającą się przy przewybornych warunkach zewnętrznych, i dar „promieniowania“ czyli działania psychicznego na to różnobarwne, różnostrojowe zbiorowisko ludzi, zwane publicznością.

A skutkiem posiadania obu tych czynników jest ogromne jego powodzenie.

*) „Irradation und Ausdehnungsvermögen der Seele“.

Z tygodnia.

Nowy biskup przemyski, ks. dr. Józef Sebastyan Pelczar, urodził się w dniu 17 stycznia r. 1842 w Korczynie pod Krosnem. Gimnazyum ukończył w Przemyślu, gdzie też następnie w miejscowem seminaryum duchownem słuchał wykładów teologicznych. W roku 1864 otrzymał święcenia kapłańskie. Przez rok sprawował obowiązki wikaryusza w Samborze, poczem dla odbycia wyższych studyów teologicznych wyjechał do Rzymu. Tam jako alumn kolegium polskiego uczęszczał na wykłady w Collegium Romanum i w liceum św. Apolinarego i tam też otrzymał stopień doktora św. teologii i prawa kanonicznego. W roku 1868 powrócił do kraju i został tu naprzód prefektem, a następnie (w r. 1871) profesorem teologii pastoralnej, zastępczo zaś także prawa kanonicznego w seminaryum duchownem w Przemyślu; jednocześnie sprawował obowiązki w konsystorzu przemyskim jako radca konsystoryalny. W tym czasie ks. dr. Pelczar ogłosił pierwsze większych rozmiarów dzieło: „Życie duchowne", które zwróciło na niego uwagę i sprawiło, że w r. 1877 mianowany był profesorem zwyczajnym historyi kościelnej i prawa kanonicznego uniwersytetu Jagiellońskiego a w pięć lat później, po reorganizacyi wydziału teologicznego, profesorem teologii pasterskiej. Z pod pióra ks. prof. Pelczara wyszło w Krakowie kilka dzieł, że wspomnimy trzytomowe dzieło „Pius IX i jego pontyfikat". Ks. dr. Pelczar dał się w tym czasie poznać także jako świetny mówca i kaznodzieja. Młodzież kochała go gorąco, wszyscy otaczali głębokim szacunkiem. Mianowany asesorem krakowskiej kuryi biskupiej, został w r. 1880 kanonikiem gremialnym kapituły krakowskiej, otrzymawszy mianowicie jedną z kanonii kollacji uniwersytetu Jagiellońskiego. W uniwersytecie dwukrotnie piastował godność dziekana wydziału teologicznego a w r. 1882/3 był rektorem uniwersytetu i za jego to urzędowania odbyło się uroczyste założenie kamienia węgielnego pod nowy gmach uniwersytecki, dokonane przez ś. p. księcia biskupa kardynała Albina Dunajewskiego. Po śmierci ś. p. biskupa-sufragana przemyskiego, ks. Glazera, ks. dr. Pelczar mianowany został przez cesarza dziekanem kapituły przemyskiej a na propozycyę ś. p. biskupa Soleckiego brewem papieskiem z dnia 27 lutego r. z. biskupem-sufraganem. W dniu 19 marca r. z. z wielką uroczystością odbył się w Przemyślu akt konsekracyi ks. biskupa Pelczara. W r. b. ks. biskup Pelczar był obok księcia biskupa Puzyny przewodnikiem wielkiej pielgrzymki polskiej do Rzymu a w pamięci uczestników tej pielgrzymki tkwią żywo kazania, jakie ks. Pelczar wygłosił do nich w bazylice S. Maria Maggiore i w kościele św. Wawrzyńca (Lorenzo) przy grobie Piusa IX. Postanowieniem urzędowem z dnia 23 listopada r. b. ks. dr. Pelczar zamianowany został biskupem przemyskim, następcą ś. p. ks. Łukasza Soleckiego.

* * *

O „Pamiętnikach" Bobrowskiego zamieściliśmy w ostatnich zeszytach „Protest" p. Twardowskiego. Obecnie wyszła we Lwowie broszura pt. „Tadeusz Bobrowski i jego pamiętniki", a napisał ją taki znawca stosunków ukraińskich, jakim jest p. Rawita-Gawroński. Autor wykazuje całą nicość i przewrotność charakteru Bobrowskiego, którego znał osobiście, i taką wypowiada o nim i pamiętnikach opinię:

„Nie było najcięższego zarzutu, którymby nie obarczył najniesłuszniej własnych współbraci. Każdą myśl o potrzebie lub możności zmiany panujących stosunków na lepsze, nazywa „łudzeniem się" (II. 55), Nie wierzył w siłę i żywotność narodu, który tysiąc lat przeżył i wytworzył potężne państwo samodzielne, a wierzył w to, że, gdyby książę Wasylczykow żył, „starałby się z pewnością, jako człowiek uczciwy, ulżyć losowi osób pojedynczych, a szczególnie prowincyi" (II. 34). Tak może myśleć i mówić zaściankowy dyplomata, lecz nie człowiek rozumu, nie statysta, znający dobrze politykę wroga, dla którego niepowodzenie nieprzyjaciela jest środkiem do rychlejszego zgnębienia go. Kiepskimi politykami są ci, którzy wierzą w łagodność i sprawiedliwość wilków i lisów!

Wydając sądy o rzeczach i ludziach bardzo bezwzględne i surowe, krzywdził nieraz zarówno Moskali jak i cały naród polski. W celu zatrzymania istniejącego stanu rzeczy, bynajmniej niezasługującego na zachowanie, nie umiał znaleść innej rady, jak „wyrzeczenie się długoletnich marzeń", co w przekładzie w języka rosyjskiego na polski znaczy: zrzeczenie się praw narodowych. Nie będę prostować bajd, które popisał o głupocie szlachty — kto chce sprawdzić, niech przeczyta Andrzejowskiego (Detiuka) i plotek o Sierakowskim (I. 348), błędnych wiadomości o Olszańskim (II. 471), Józefie Wysockim (II. 475), a nawet o redaktorstwie Kijewlanina (II. 476) i wiele innych, bo są to błędy, — nic więcej.

Pamiętniki Bobrowskiego pozostaną smutną spuścizną po nim, bolesną pamiątką dla setek rodzin, dotkniętych lekkomyślnie, krzywdą wyrządzoną własnemu społeczeństwu skutkiem nierozumienienia i lekceważenia największych i najwznioślejszych aspiracyi całego narodu. Wobec tych ujemnych stron maleją dodatnie. Nic on nie przynosi pokrzepiającego, dobrego, silnego — we wszystkich poglądach i sądach osłabia i upokarza ducha narodowego, generalizując swoje osobiste poglądy, poczęte w stolicy Moskwy, wyhodowane lekceważeniem i zniewagą wszystkiego, co polskie".

* * *

We wtorek dnia 11. b. m. odbyło się w gmachu sejmowym pod przewodnictwem Marszałka krajowego JE. hr. Stanisława Badeniego posiedzenie krajowej Rady kolejowej, na którem przedłożono sprawozdanie z czynności krajowego biura kolejowego za czas od 1. czerwca do 1 grudnia b. r., o dalszej akcyi kraju na polu popierania budowy kolei lokalnych.

Poszczególne punkty sprawozdania, rozesłanego przez Wydział krajowy członkom Rady kolejowej, wyjaśniał szczegółowo dyrektor p. Zaleski, przyczem po krótkiej dyskusyi powzięto uchwały mające na celu zmiany w dotychczasowym rozkładzie jazdy celem dogodności podróżnych.

* * *

Z okazyi swego jubileuszu, Henryk Sienkiewicz napisał obrazek sceniczny pt. „Zagłoba swatem", który w Warszawie i we Lwowie będzie granym 22. bm. O treści utworu donoszą:

Rzecz dzieje się na kresach w domu Imć pana Oliwiusa, ekspalestranta, ojca nadobnej Zofii i posiadacza dwóch rezydentek, krewnych dalekich: Imć panien (siejących rutkę) Marjanny i Weroniki. Do Zofii smali cholewki p. Jan Zaremba, towarzysz lekkiego znaku, a p. Onufrego Zagłoby, kommiliton i przyjaciel.

Lecz p. Oliwius córki za Zarembę wydać nie chce, a w końcu, powołując się na dawne związki, zniewala go do zaślubienia albo panny Weroniki, albo panny Marjanny, już w tym kierunku żadnej presji nań nie wywierając. Kręci się biedny Zaremba jak piskorz i aby na czasie zyskać, a Zagłobę na odsiecz w sercowej potrzebie wezwać, oświadcza leciwym dziewicom: Jako z tą się ożeni, która jest mocniejszego tchu, ponieważ żołnierzem będąc, myśli wszędzie za sobą żonę nosić! A bez tchu dobregoby nie nadążyła.

Rozpoczyna się tedy turniej, polegający na powtórzeniu jednem tchem możliwie największej ilości wierszy: „Jedna wrona bez ogona!".

Gdy się rozgrywają one zapasy..., dom otacza horda Tatarów z groźnym Łykaj-bejem na czele. Łykaj-bej poznaje w p. Zarembie dawnego towarzysza, z którym wodę lał na szable. Roztkliwia się więc i z wielkiej uciechy darowuje mu brankę Zosię, sam poprzestając na pannach Marjannie i Weronice, jako na stateczniejszych i bardziej latom pomiarkowania odpowiadających. Łykaj-bej zapowiada, jako do haremu pójdą, lecz panny nie zdają się przerażać swoim losem... Oczywiście sprawa się kończy wesoło... bo zaręczynami.

Utwór ten, mimo swej prostej budowy, tryska humorem i skrzy czystością i pięknością języka.

* * *

Skromny w programie koncert Echa odbył się pod kierownictwem mistrza J. Galla ku ogólnemu zadowoleniu słuchaczów. Zauważyliśmy, że drużyna Echistów bardzo zeszczuplona i odmłodziła się. To też i wykonanie utworów choralnych nie było już tak doskonałe, jak do tego byliśmy przyzwyczajeni. Ufamy jednak, że młodzi śpiewacy, rozporządzając świeżymi i dźwięcznymi głosami, uczęszczając pilnie i regularnie na próby, zespiewują się wkrótce ze sobą i pod batutą dzielnego pieśniarza, powrócą Echu jego dawną sławę.

Odśpiewano dzielny polones Müncheimera, wiązankę drobnych motywów ludowych, z których najwięcej przypadła do gustu „Jadą wody", ułożone misternie na chór przez p. Galla, i piękną serenada Bursy.

W koncercie wzięła udział pnianistka p. Kozłowska kilka drobnych utworów odegrała poprawnie... po kobiecemu.

Nad wyraz uroczem zjawiskiem na estradzie była druga udział biorąca w koncercie — p. Jadwiga Mrozowska, artystka teatru lwowskiego. Witano ją też i dziękowano burzą oklasków za prześlicznie wygłoszone deklamacye.

NADESŁANE.

Właściciel i wydawca: **K. Kołakowski.** Odpowiedzialny redaktor: **Wład. Strzelecki.**
Z drukarni „Dziennika Polskiego" (Dra Felixa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha l. 5.